

# ŚLADAMI ŚW. FRANCISZKA ... TRZY KROKI KU BOGU

## Przyjęcie człowieka

\*\*\*\*\*

**Zgromadzenie Sióstr Wspomożycielek Dusz Czyścowych**

**Sulejówek**

### **Wprowadzenie**

Opracowanie to zawiera kontynuację historii nawrócenia św. Franciszka, historii która nam wszystkim może pomóc odnaleźć swoją własną drogę do Pana Boga. Zapraszamy do pochylenia się nad wydarzeniami, które w sposób radykalny przemieniły Franciszkowe losy.

W sposób szczególny treść tej broszury może okazać się bliska tym osobom, które zasmakowały już słodczy płynącej z wyboru Chrystusa w swoim życiu; które dostrzegają w sobie pragnienie pogłębienia relacji z Nim; które chcą rozeznac i wypełnić Jego wolę; które czują wewnętrzne przynaglenie, by zatrzymać się nad swoją codziennością; które nie mogą całym sercem przyłgnąć do Boga, bo na przeszkodzie stoi jakiś nieprzyjęty człowiek albo jakaś przykra rzeczywistość, z obrzydzeniem omijana w naszych wspomnieniach...

Życie ludzkie pełne jest niechcianych doświadczeń, których przyczyną byli inni ludzie. Nie wszystko przecież, co stanowi naszą historię było miłe i dobre i mamy o to żal, bo w jakiś sposób zostaliśmy przez to skrzywdzeni. Wiele też naszych własnych złych czynów chcielibyśmy wymazać z pamięci swojej i osób nimi dotkniętych. Jednak człowiek nie ma takiej władzy, dlatego niekiedy nawet długie lata potrafi nosić w sercu nienawiść czy to do innych, czy do samego siebie...

Franciszek też nie był wolny od takich doświadczeń. Jak sobie z nimi poradził? - zapraszamy do lektury...

### **Słodczy nawiedzenia**

Franciszek wrócił do Asyżu, ale pytania ze Spoleto głęboko "przeorały" jego serce, nie mógł o nich zapomnieć. Otrzymał obietnicę, że wkrótce zostanie mu wyjawione, co dalej ma robić więc czekał.

Był jak ziemia gotowa do przyjęcia ziarna, ale Siewca nie przychodził... I może właśnie dlatego Franciszek nie zachowywał się na przygotowanej przez siebie uczcie tak, jak kiedyś. Szedł na samym końcu pogrążony w głębokiej zadumie, bo też miał o czym rozmyślać... Nie w głowie były mu śpiewy, już go nie bawiły, bo i dawny styl życia już go nie pociągał... Zapewne zastanawiał się nad swoją nieciekawą sytuacją. Niby Pan pochwycił jego serce, ale teraz gdzieś się ukrył... Jak długo trzeba będzie czekać na Jego drugie słowo? A może wszystko było tylko złudzeniem, może to jedynie bujna wyobraźnia, może niepotrzebnie zawracał z drogi do Apulli?

Takie i inne wątpliwości nasuwają się każdemu, kto po jakimś dotknięciu łaski Bożej - choćby w czasie rekolekcji czy pielgrzymki - wraca w swoje środowisko. Pamięć nie pozwala wymazać tego, co tak poruszyło nasze wnętrza, że postanowiliśmy odtąd słuchać głosu Pana. Ale jednocześnie nie bardzo wiemy jak się do tego zabrać, w którą stronę się zwrócić. Na pewno trzeba coś zmienić, ale co i jak? W domu, w szkole ci sami ludzie, tylko my jacyś dziwni, jakby nieobecni..., czekamy na coś, co nawet trudno racjonalnie uzasadnić albo w miarę jasno nazwać, a to wciąż nie przychodzi...

Pan Bóg jednak ma swoją określoną pedagogię - nieco inną niż ludzka i dlatego nie zawsze ją rozumiemy. On wie najlepiej, kiedy zrobić kolejny krok... Wie, że najpierw trzeba człowieka rozsmakować w ciszy, w milczeniu; trzeba skłonić do refleksji, do stawiania pytań; wzbudzić tęsknotę za ponownym doświadczeniem bliskości Boga; rozniecić pragnienie głębszego życia... A na to trzeba czasu...

Do tak spragnionej dotknięcia duszy Pan Bóg ma już wtedy swobodny dostęp. Gdy serce jest gotowe na spotkanie, wtedy nawet panujący wokół zgiełk nie może stanąć na przeszkodzie. Najważniejsza jest cisza w sercu człowieka. To co dzieje się obok nie ma znaczenia.

Widać to wyraźnie na przykładzie Franciszka. Przecież jego przyjaciele zachowują się bardzo głośno, a on, jakby wcale tego nie słysząc, pogrąża się w zadumie, i właśnie wtedy - na ulicy - nawiedza go Pan. Miłość Boża bardzo "mocno" zawładnęła Franciszkową duszą, bo jak zapisali biografowie: "Słodczy tak cudowna napełniła jego serce, że nie mógł ani mówić, ani poruszać się [...], jak sam później wyznał, nawet gdyby cięto go na kawałki, nie byłby w stanie ruszyć się z tego miejsca".

Kiedy towarzysze zabawy odwrócili się i zobaczyli, że został daleko za nimi, wrócili do niego. Zauważyli, że coś się z nim stało, ale nie wiedzieli co. Nawet do głowy im nie przyszło, że to Bóg stanął na drodze młodego Bernardone. Zaczęli więc żartować z niego, pytając: "O czymże to myślałeś, że nie szedłeś z nami? Być może myślałeś o ożenieniu się?" W odpowiedzi usłyszeli: "Powiedzieliście prawdę, ponieważ myślałem o wzięciu oblubienicy szlachetniejszej, bogatszej i piękniejszej, aniżeli kiedykolwiek widzieliście". Oni jednak zupełnie nie zrozumieli, o czym Franciszek mówił. Nigdy nie spotkali się z kimś takim, więc uznali, że ta oblubienica jest tylko wytworem fantazji. Wykpili więc swego towarzysza.

Ten schemat wydarzeń funkcjonuje do dziś. Młody człowiek, przed którym Pan Bóg ujawni odrobinę Swego piękna, czuje się nim tak obezwładniony, tak przez nie zagarnięty, że musi się zatrzymać. Musi? Tak, bo skoro piękno natury, choćby górskich krajobrazów, może niekiedy tak zachwycić, że chciałoby się godzinami stać w jednym miejscu i je "chłonać", to cóż dopiero piękno samego Stwórcy?... Jest to przymus wynikający z fascynacji spotkanym Pięknem, z umiłowania Go, a więc pozostawiający wolność. Człowiek zawsze ma możliwość przejścia obok...

Co się dzieje, gdy rozpoznamy Boga i zatrzymamy się przy Nim? Zaczynamy odstawać od grona koleżanek i kolegów, bo to, co ich cieszy, wypada bardzo blado w porównaniu ze słodyczą, której doświadczyliśmy od Pana. Nie ma już siły przyciągania. Oni, podobnie jak przyjaciele Franciszka,

kiedys zauważą ten dystans i upomną się o bliskość. A gdy nie będziemy zainteresowani, to po prostu wyśmieją i odejdą... I tylko myśl o tej "najpiękniejszej oblubienicy" nie pozwoli nam za nimi pobiec.

### **Najpiękniejsza oblubienica**

Uczta, w czasie której, Franciszek doświadczył tajemniczego i pełnego wewnętrznej słodyczy nawiedzenia, była jego ostatnią towarzyską imprezą. Od tej chwili jego serce zwróciło się ku oblubienicy, którą było "prawdziwe życie religijne, dzięki ubóstwu szlachetniejsze, bogatsze i piękniejsze niż wszystko inne". Dziwna to oblubienica... A jednak zawładnęła całkowicie sercem Franciszka do tego stopnia, że "gardził tym wszystkim, co niedawno kochał".

Ale czy dotąd nie był on człowiekiem religijnym? Przecież wychował się w rodzinie praktykujących katolików, a o matce biografowie piszą, że była bardzo pobożna... Franciszek był człowiekiem wiary, ale wiary tradycyjnej, wyuczonej, przejętej od rodziców... Brakowało w tej religijności osobistej relacji z Panem Bogiem - z Bogiem żywym i prawdziwie obecnym w życiu człowieka.

Podobnie przecież dzieje się w życiu wielu współczesnych katolików. Chodzą do kościoła, uczęszczają na lekcje religii, modlą się, ale brakuje temu wszystkiemu pewnej "iskry", która rozpromieniłaby tę szarość religijnego nawyku. Od kiedy Franciszka nawiedził Pan, już nawet nie iskra, ale wielki płomień ogarnął jego serce. W jego blasku zaczął zauważać swoją nędzę i marność światowych przyjemności. Dlatego coraz częściej poszukiwał ciszy, stawał się hojniejszy w rozdawaniu jałmużny ubogim i z coraz większym upodobaniem oddalał się na modlitwę do pewnej grotty za miastem. Bóg napełniał serce Franciszka taką słodyczą, że odczuwał jakby wewnętrzny przymus szukania Jego uszczęśliwiającej bliskości, a czasami zagarnięty nią niespodziewanie modlił się nawet na ulicy i w innych miejscach publicznych.

Nic więc dziwnego, że nie pasował już do dawnego świata i nie chciał płynąć z jego nurtem. Jak podaje jeden z życiorysów, Franciszek "oddalając się nieco od światowego zgiełku, starał się zachować Jezusa Chrystusa, we wnętrzu swoim i ukryć przed ironicznymi spojrzeniami ewangeliczną perłę, którą pragnął nabyć sprzedawszy wszystko"...

Tak to już jest, że żaden człowiek zdobyty przez Bożą miłość nie krzyczy o niej wokoło, nie rozgłasza, ale najczęściej nawet nie rozmawia o swym szczęściu z najbliższymi przyjaciółmi. Bo jak wytłumaczyć te nagłe zmiany w sposobie życia? Jak opowiedzieć o Bogu, który nieskończenie przerasta każde, nawet najpiękniejsze słowa? Poza tym skąd można mieć pewność, że ktoś nie zniszczy szyderstwem tego, co jest tak wielką intymnością? Dlatego jedynym pragnieniem jest wtedy milczenie wobec świata i żarliwa modlitwa do Boga, aby wskazał co dalej robić ze swoim, tak odmienionym, życiem.

Tak właśnie modlił się Franciszek i gdy pewnego dnia zanosił do Pana swoje błagania, usłyszał odpowiedź: "Franciszku, to wszystko, co kochałeś i pragnąłeś posiadać według ciała, trzeba abyś uznał za godne wzgardy i nienawiści, jeżeli chcesz znać Moją wolę. Gdy później zaczniesz to czynić to, co wydawało ci się ongiś miłe i słodkie, będzie dla ciebie nie do zniesienia i przykre, w tym zaś do czego odczuwałeś wstręt, znajdziesz wielką słodycz i rozkosz bez miary". Co miały znaczyć te słowa? Z pewnością Franciszek tego nie wiedział, ale nauczony doświadczeniem z radością je przyjął...

## Królewska brama

Kiedy zatrzymamy się nieco dłużej nad Franciszkową radością, wywołaną kolejnym dotknięciem Bożej łaski, mogą nasunąć się pewne wątpliwości i pytania. Jak to się dzieje, że człowiek zaczyna coś słyszeć na modlitwie? A ponadto skąd czerpie pewność, że to sam Bóg przemawia we wnętrzu jego serca, że to nie są tylko jakieś tam jego własne wymysły? Co sprawia, że jest uległy tym tajemniczym wskazaniom? Co czyni go tak otwartym na Boże natchnienia?

Najkrócej można by odpowiedzieć, że tym, co pozwala człowiekowi tak jasno dostrzegać obecność Boga w swojej codzienności i być posłusznym Jego woli jest ubogie serce. Widać to wyraźnie w historii Franciszkowego nawrócenia. Na ostatniej koleżeńskiej uczcie, w której brał udział po powrocie ze Spoleto, Bóg ukazał mu ubóstwo jako swoisty klejnot. Dzięki niemu prawdziwe życie religijne, którego pod wpływem łaski zapragnął młody Bernardone, miało być szlachetniejsze, bogatsze i piękniejsze...

Dzięki ubóstwu bogatsze? Dziwnie to brzmi i jakby trochę nielogicznie, a jednak... Okazuje się bowiem, że nie ma innej drogi do Pana Boga niż przez ubóstwo. Trzeba je tylko dobrze zrozumieć i nie kojarzyć z nędzą, ale raczej z wolnością, dyspozycyjnością i hojnością ludzkiego serca wobec Boga oraz drugiego człowieka.

Ku takiemu ubóstwu dążył Franciszek - choć w sposób jeszcze bardzo niedoskonały i mało świadomy - gdy, jak piszą jego biografowie, zaczął stawiać na stole o wiele więcej chleba niż to było potrzebne do posiłku, aby być przygotowanym na udzielenie go biednym. Ponadto postanowił sobie, że z miłości do Boga będzie wynajdywał ubogich i z wielką hojnością ich obdarowywał. Pojechał też na pielgrzymkę do Rzymu, gdzie nawet przebrał się w żebracze łachmany i przed bramą świątyni prosił przechodniów o wsparcie. I choć dalekie były te młodzieńcze porywy Franciszkowego serca od idei prawdziwego ubóstwa, to jednak złościły w jego wnętrzu miejsce dla Bożych łask. Dlatego potrafił już je rozpoznawać, przyjmować i cieszyć się nimi.

Z pewnością Panu Bogu nie przeszkadza to, że młody człowiek wiele rzeczy czyni bardziej z czystej spontaniczności niż z dojrzałej decyzji służenia Bogu i bliźniemu. Nie tylko nie przeszkadza, ale - jak to widać na przykładzie Franciszka - miła jest Mu taka postawa, bo choć jeszcze nie w pełni dojrzała, otwiera na wyższe dobra i wartości. Wiemy przecież, że Franciszek przed wyprawą do Apulii słynął z rozrzutności. Dzięki bogatemu ojcu dysponował dużymi pieniędzmi, wydając je na same tylko przyjemności - np. stroje czy zabawy. Natomiast po powrocie stał się hojny w rozdawaniu jałmużny ubogim. Tak więc widać wyraźną przemianę w jego sposobie myślenia i działania. Odwraca się od własnych potrzeb, aby zaradzić czyjejs biedzie.

Tak właśnie działa łaska Boża, gdy człowiek zechce ją wpuścić do swojego serca. Stopniowo uwalnia od tego wszystkiego, co może przeszkadzać w sięgnięciu po prawdziwe bogactwo - po samego Boga. Stąd każdy, kto pragnie wkroczyć na drogę autentycznego nawrócenia musi pozbyć się przywiązania do dóbr doczesnych, musi przejść przez bramę ubóstwa. O tej konieczności poucza nas Jezus Chrystus, na kartach Ewangelii Świętej, w bardzo znamiennej słowach: "Jakże trudno wejść do królestwa Bożego tym, którzy w dostatkach pokładają ufność. Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do królestwa Bożego" (Mk 10, 24-26).

Śledząc dalsze losy Franciszkowego odkrywania woli Bożej, odkrywania drogi powołania, zobaczymy, jak bardzo głęboko ten Asycki Młodzieniec rozmiłuje się w ubóstwie. Aż tak bardzo, że przylgnie do niego, niczym drugie imię, włoskie określenie: Poverello - Biedaczyna. Zobaczymy też, że odkąd Franciszek zapragnął poślubić prawdziwe życie religijne, uszlachetnione, ubogacone i upiękzone klejnotem ubóstwa, każdy następny dotyk Bożej miłości, będzie wprowadzał go na drogę coraz doskonalszego ogołocenia. Nie na drogę nędzy jednak, ale coraz pełniejszego otwarcia

na duchowe bogactwa wiary oraz na drogę ufego powierzenia swojego życia dłoniom dobrego Boga.

Tak więc, po spotkaniu z Chrystusem w Spoleto, kiedy to w tajemniczym głosie Franciszkowe serce rozpoznało prawdziwego Pana, przyszedł czas na kolejny etap. Też niełatwy, bo zaprawiony goryczą niemiłego spotkania...

### **Spotkanie z trędowatym**

Wielu ludzi spotykał Franciszek w swoim życiu. Miał przyjaciół, znajomych, stykał się z klientami w sklepie ojca... Jednak po ostatnich dotknięciach Bożej łaski coraz bardziej lubił przebywać sam, gdzieś poza miastem, poza zgiełkiem dnia. Musiał mieć czas i przestrzeń ciszy, aby głębiej zastanowić się nad zapowiedzią przemiany, która miała się w nim dokonać. Urządzając konne przejażdżki zapewne przychodziły mu na myśl usłyszane na modlitwie słowa, że to, co dotąd było dla niego miłe stanie się wstrętne, a to, do czego czuł odrazę przemieni się w słodycz. Co to miało znaczyć? - Franciszek tego nie wiedział...

Pewnego dnia jechał konno drogą pod Asyżem, gdy nagle wyrwał go z zadumy dźwięk kołatki trędowatego. W czasach Franciszka ta choroba była czymś w rodzaju współczesnego AIDS. Budziła lęk, bo nie znano na nią lekarstwa, bo łatwo było się nią zarazić - np. przez dotyk. Budziła trwogę, bo trędowaci byli usuwani na margines życia społecznego i skazani na powolne umieranie w ogromnych cierpieniach. Nie wolno im było nigdzie pracować, więc żyli w ogromnej nędzy, licząc jedynie na jałmużnę ludzi zdrowych.

Franciszek był ze swej natury człowiekiem wrażliwym na ludzkie cierpienie. Często wspierał trędowatych, ale nigdy nie czynił tego osobiście. Zawsze szukał jakiegoś pośrednika. Widok tych "cuchnących, żywych trupów" był mu tak przykry, że omijał trędowatych z daleka. Niekiedy jednak był zmuszony przejeżdżać koło ich mieszkań. Wówczas odwracał twarz w drugą stronę, żeby na nich nie patrzeć i dłońmi zatykał sobie nos, żeby nie czuć odoru gnijącego ciała.

Tym razem był zbyt zamyślony, żeby w porę dostrzec niemiłego przechodnia, ale miał jeszcze szansę odwrotu. Wystarczyło spiąć konia ostrogami i powstrzymując na chwilę oddech, szybko odjechać, oddalić się na bezpieczną odległość, i jeszcze szybciej wyrzucić z pamięci to przykre spotkanie i zająć się czymś przyjemniejszym. Jednak uczynił inaczej...

Biografowie piszą, że Franciszek, "zadając sobie gwałt, zsiadł z konia i dał trędowatemu wsparcie, całując go w rękę. Otrzymawszy zaś od niego pocałunek pokoju wsiadł na konia i kontynuował swoją przejażdżkę. Gdy się oddalił, poznał prawdziwość Bożej obietnicy; co było dla niego tak gorzkie niegdyś, a mianowicie widok i kontakt z trędowatymi, zostało zamienione w słodycz."

Dlaczego Franciszek nie uciekł? Dlaczego nie odwrócił twarzy? Więcej! - skąd mu przyszło do głowy, żeby całować trędowatego? Mógł mu przecież dać pieniądze i odjechać... Niełatwo znaleźć odpowiedzi na te pytania, bo zachowanie Franciszka było zupełnie nieracjonalne, wręcz nierozsądne. Mógł przecież zarazić się trędem i stać się jednym z tych, którymi dotąd tak się brzydził...

Musimy więc nieco dłużej zatrzymać się przy tym wydarzeniu. Pamiętamy, że przemiana goryczy w słodycz była warunkiem poznania woli Bożej. Było tam wyraźne zastrzeżenie: "Jeżeli chcesz znać moją wolę..." Franciszek chciał, a więc Pan Bóg dał mu możliwość przejścia przez to doświadczenie. Stworzył mu warunki do tego, aby uświadomił sobie swoje własne uczucia wobec trędowatych i przełamał wstręt, aby została usunięta bariera, która dotąd przeszkadzała Franciszkowi w pełnym otwarciu się na Boga. Ale co ma wspólne trędowaty z Bogiem? Otóż

wiemy, że Bóg mieszka w sercu każdego człowieka. Jeżeli wstrętny jest nam choćby jeden z ludzi, Bóg nie będzie mógł być przez nas w pełni przyjęty. Pozostanie odrzucony, pominięty, zniechęcony w tej właśnie jednej osobie, w tej jednej ludzkiej twarzy. Mówiąc "nie" na spotkanie z człowiekiem, mówimy "nie" spotkaniu z Bogiem...

Skoro tak, to może warto by w tym miejscu Franciszkowej historii spróbować odnaleźć swoje własne życie? Często przecież uskarżamy się, że nie rozumiemy tego, czego Bóg od nas chce. Zastanawiamy się dlaczego spotykają nas różne cierpienia? Dlaczego innym się dobrze wiedzie, choć nie chodzą do kościoła? Dlaczego właśnie nam zawsze jakoś pod górkę? A może gdzieś na drodze naszego codziennego życia stoi jakiś trędowaty? Może jest jakaś niemiła rzeczywistość, którą od dawna obchodzimy z daleka, której nie chcemy zobaczyć, z którą nie chcemy się spotkać? Może nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, że odwracamy ze wstrętem głowę od kogoś, kogo trzeba zauważyć i... ucałować...

### **Trądy naszego życia**

Wcale nie tak łatwo je odnaleźć, bo nawet nie myślimy, że jest to takie ważne. Przecież każdy z nas ma jakieś sympatie i antypatie, a poza tym wiadomo, że nie jesteśmy w stanie wszystkich i wszystkiego lubić. Uważamy to za normę i dlatego zbyt nie angażujemy się w analizowanie naszych odniesień do Pana Boga, do siebie samych, do innych ludzi czy też do otaczającego nas świata. Jakoś tam sobie żyjemy. Jednak na dłuższą metę samo „jakoś tam” nie wystarczy... W końcu przyjdzie taki moment, gdy jak Franciszek zapagniemy głębszego niż dotąd życia i wówczas trzeba będzie spotkać się z tym wszystkim, co dotychczas omijaliśmy z obrzydzeniem.

Jak rozpoznać trędowatego lub trąd? Może w naszym życiu ich nie ma? Może ten problem akurat mnie nie dotyczy? W poszukiwaniu odpowiedzi najlepiej zacząć od zadawania sobie kolejnych pytań: co napęła mnie goryczą, zniechęceniem?, czy jest ktoś taki, kogo nienawidzę; z kim nie chcę się spotykać, rozmawiać, kogo nie akceptuję, a nawet nie toleruję ani jego poglądów, ani obecności, ani tym bardziej bliskości?, czy jestem zadowolony z tego co robię, z tego jak wyglądam, z tego kim jestem i jaki jestem, jakich mam rodziców?, czy podobam się sobie samemu?, czy z przyjemnością każdego ranka spoglądam w lustro?

Gdy, w kontekście tych i innych podobnych pytań, przyjrzymy się dokładniej naszym relacjom z ludźmi szybko dostrzeżemy tych, którzy są naszymi trędowatymi. Najłatwiej rozpoznamy ich w innych ludziach, do których czujemy niechęć i wstręt, którzy stanowią dla nas jakieś zagrożenie, jak np.: w rodzicu uzależnionym od alkoholu, w złośliwym nauczycielu, w agresywnych kolegach, w pozbawionych skrupułów koleżankach.

O wiele trudniej zobaczyć trędowatego w sobie. Wolimy nie mówić, ani też myśleć o tym, co nas odrzuca od nas samych, bo to męczy, bo jest nam z tym źle... Spychamy więc wszystko w jakiś ciemny kąt i mamy nadzieję, że kiedyś sprawa sama się rozwiąże, że kiedyś ten problem zniknie. Uciekamy jak najdalej od tego, co boli - w zabawę, naukę, używki, imprezy - aby choć trochę poczuć się wolnym od ciężaru własnego istnienia. Niestety zazwyczaj bywa odwrotnie - problemy urastają do takich rozmiarów, że już nie wiadomo, gdzie je pomieścić, wszędzie ich pełno... Trzeba z nimi coś zrobić, ale ani nie wiadomo co, ani w jaki sposób, jak więc dalej żyć?

Jeszcze innym trądem, który domaga się dotknięcia może być grzech nasz własny lub kogoś innego. Tutaj często mamy największe problemy. No może jeszcze grzechy innych łatwiej jest zobaczyć, bo to właśnie one czynią ludzi tymi obcymi, niemiłymi, a niekiedy ohydnyymi w naszych oczach. Gorzej z wykryciem własnych przewinień, z utożsamieniem się z mianem grzesznika czyli z kimś nieczystym - z trędowatym. Łatwiej jest kogoś obarczyć winą za swoje nieszczęścia niż przyznać się do swoich własnych błędów.

Tymczasem, sięgając do Franciszkowej historii życia, należy zauważyć bardzo istotny szczegół. Zanim młody Bernardone złożył pocałunek na dłoni trędowatego musiał zadać sobie gwałt i zsiąść z konia. Gwałt to słowo, które nie niesie ze sobą żadnych miłych skojarzeń. Jest z nim związane cierpienie, a więc nie było Franciszkowi łatwo przełamać obrzydzenia, postąpić zupełnie wbrew swojej naturze, ale jednak to uczynił. Potem zsiadł z konia, stając na tej samej płaszczyźnie, co trędowaty i ucałował go. Już nie patrzył na niego z góry, jako ktoś zdrowy, szlachetny, czysty. Stał naprzeciw, jak równy z równym. On też był trędowaty, tyle że nie na ciele - jak sam później wyznał w *Testamencie*: „Gdy byłem w grzechach, widok trędowatych wydawał mi się bardzo przykry. I Pan sam wprowadził mnie między nich i okazywałem im miłosierdzie. I kiedy odchodziłem od nich, to co wydawało mi się gorzkie, zamieniło mi się w słodycz duszy i ciała”.

Franciszek bardzo potrzebował tego spotkania, żeby zrozumieć jak bardzo jego serce zarażone było groźniejszym trądem niż choroba ciała - pragnieniem wielkości, które chciało rozminąć się z prawdą o autentycznym wielkim życiu, w którym nie można odepchnąć żadnego człowieka, nawet najbardziej odrażającego. Dlatego przez zetknięcie z człowiekiem, który dotąd był mu wstrętny, został wprowadzony w samo centrum swojego wewnętrznego nieładu. Gdy stanął twarzą w twarz z trędowatym, gdy dotknął jego gnijącego ciała i udzielił jałmużny, zauważył, że tym obdarowanym jest on sam...

### **Prawdziwie uzdrowiony**

Kto uzdrowiony? Ten chory na trąd, którego Franciszek po raz pierwszy potraktował jak równego sobie, a nawet kogoś zaniejszego, bo w tamtych czasach w rękę całowało się kogoś godniejszego od siebie? Nie. Źródła biograficzne nic nie mówią na ten temat. Trędowaty pozostał trędowatym, ale zmienił się młody Bernardone. Bóg uzdrowił wszystkie jego zmysły: wzrok, słuch, powonienie, dotyk. Już nie odwracał głowy na widok takich ludzi, nie omijał ich by przypadkiem nie poczuć przykrego zapachu, nie wzdrygał się na dźwięk kołatki trędowatego, ale udał się tam, gdzie było ich wielu i opatrywał im rany: „wzmocniony łaską Bożą do tego stopnia spoufalił się z trędowatymi i stał się ich przyjacielem, że - jak świadczy w swoim *Testamencie* - pozostał wśród nich i pokornie im służył”. Opatrywał im rany i każdego całował w rękę!

To wydarzenie jasno przedstawia nam prawdę o przyjęciu trądów naszego życia. Naszym zadaniem jest zrobić ten jeden mały czyn - przemóc siebie i stanąć naprzeciw tego, co jest mi wstrętne, niemiłe, obrzydliwe i dotknąć!. Dotknąć spraw, które dotąd omijaliśmy z daleka. Dotknąć - to znaczy przyjąć fakt, że są i ponadto stanowią część tego świata, w którym dane mi jest żyć. Ta przykra rzeczywistość nie zmieni się przez moje dotknięcie, bo np. ojciec pozostanie alkoholikiem do końca życia, bo nikt nie cofnie czasu i nie zmieni mojej historii życia, bo zło które być może zostało przeze mnie zasiane rozrosło się już w potężne drzewo, bo...

Dotyk uzdrawia tych, którzy dotykają, a więc nas samych. Dlatego Pan Bóg chce byśmy dotykali swoich trędowatych. Każdego z nas - jak Franciszka - to On sam wprowadza między nich, umacniając przy tym swoją łaską. Bez niej - nie ludźmy się - nie bylibyśmy w stanie służyć tym, którzy zagrażają naszemu życiu w tak realny sposób jak ta choroba, którą Franciszek mógł się zarazić i podzielić los swoich nowych, odrzuconych na margines społeczny przyjaciół.

Ucałowanie trądów sprawia zmianę sposobu ich widzenia. Odzyskujemy Boży wzrok: przecież zarówno i my sami, jak i ci, którzy w jakiś sposób nas skrzywdzili, są dziećmi tego samego Boga! On patrząc na nas wszystkich mówi: jak dobrze, że jesteś! Nikogo nie pomija, nikim się nie brzydzi, od nikogo nie odwraca swojego Boskiego Oblicza, ale dla zbawienia wszystkich poświęcił życie swojego umiłowanego Syna.

Bóg najpierw uczynił dla nas to, czego my boimy się najbardziej - umarł. Wcześniej jednak wziął

na siebie wszystkie nieczystości świata, wszystkie grzechy, wszystkie trądy, całe zło wszelkiego ludzkiego grzechu. Cała obrzydliwość świata spadła na nieskalanie czystego i niewinnego Jezusa Chrystusa i dlatego czytamy o Nim w Księdze Izajasza: „Nie miał On wdzięku, ani też blasku, aby na Niego popatrzeć, ani wyglądu, aby się nam podobał. Wzgardzony i odepchnięty przez ludzi, Mąż boleści, oswojony z cierpieniem, jak ktoś, przed kim się twarze zakrywa, wzgardzony tak, że mieliśmy Go za nic” (Iz 53,2-3).

Jakże nam ten opis pasuje do trędowatego, od którego młody Bernardone odwracał swoją twarz! Bo rzeczywiście to On jest Trędowatym, On jest tym Nieczystym... Dlatego dalej Prorok pisze jak to możliwe, żeby Bóg był trędowaty: „Lecz On się obarczył naszym cierpieniem, On dźwigał nasze boleści, a myśmy Go za skazańca uznali. Lecz On był przebity za nasze grzechy, zdruzgotany za nasze winy. Spadła nań chłosta zbawienna dla nas, a w Jego ranach jest nasze zdrowie. Wszyscyśmy pobłądzili jak owce, każdy z nas obrócił się ku własnej drodze, a Pan zwałił na Niego winy nas wszystkich” (Iz 53, 2-6).

Wszyscyśmy pobłądzili - podkreśla Izajasz. Wszyscy - bez wyjątku i dlatego nikt z nas nie ma prawa uważać się za lepszego od innych. Wszyscy jesteśmy grzeszni i właśnie dlatego Franciszek zsiadł z konia. Może zrozumiał - choćby wtedy jeszcze nie tak jasno - że tak wygląda Chrystus w tym właśnie człowieku. Tak wyglądam ja w oczach Chrystusa, gdy jestem w grzechach i On nie boi się mnie dotknąć (Mt 8, 1-4).

Każdy, kto zbliżył się do Boga, pozwalając Mu zadziałać w swoim życiu, będzie wprowadzony między trędowatych, aby w zetknięciu z nimi zobaczył kim sam jest i poznał, że każdy „człowiek jest tylko tym, czym jest w oczach Boga, niczym więcej”.

Dopiero tak przemienieni łaską Bożą jesteśmy w stanie spotkać się z „chorą osobą” albo z jakąś „chorą rzeczywistością” naszego życia i nie uciec...

Ale czy Pan Bóg chce, abyśmy ucałowali grzech, który przecież odłącza nas od Jego łaski, krzywdzi nas samych i innych ludzi? Czy żąda tego, abyśmy rzucili się w ramiona rodzica, który np.: - jak opowiadała jedna z dziewcząt - po pijanemu złamał jej rękę, mszcząc się w ten sposób za zawiadomienie przez nią policji, gdy bił ją i jej matkę? Jak tu powiedzieć do takiego człowieka: dobrze, że jesteś?! Komu przeszło by to przez gardło? Na pewno nie tej dziewczynie! Więc czego żąda Bóg stawiając nas w obliczu trądy?

Zacznijmy od tego, że wszystko, co On stworzył jest dobre, a więc także ja i ten oto trędowaty dla mnie człowiek. Więcej! Istnienie każdego z nas jest realizacją odwiecznego zamysłu Boga i stanowi część niepojętego dla nas dzieła stwórczego. Bóg kochając człowieka, który nosi na sobie zmasę grzechu pierwotnego, przestrzega go, uświadamiając mu jego słabość: „jeżeli zaś nie będziesz dobrze postępował, grzech leży u wrót i czyha na ciebie” (Rdz 4,7). Nawet jeżeli kolejny raz Go nie posłucha i podobnie jak w Raju ulegnie złu, choć wstrętna Mu jest ludzka nieprawość, nie może przestać kochać tych, których z miłości powołał do istnienia. Będzie o nich walczył, aby się nawrócili i mieli życie wieczne.

Tak więc, Pan Bóg, patrząc na trędowatych - czyli na każdego z nas - mówi: dobrze, że jesteś, ale niedobrze, że właśnie taki jesteś!, że tak daleko odszedłeś od obrazu, na wzór którego cię stworzyłem!... A gdy nas samych wprowadza między trędowatych nie chce, abyśmy umiłowali trąd, bo nawet jako choroba ciała jest on wstrętny i wymaga leczenia. Pan Bóg pragnie tylko tego, abyśmy tak, jak On, przyjęli za dobre istnienie każdego człowieka, nie ze względu na jego czyny (bo na miłość nimi nie zasłużył), ale dlatego, że tak jak i my jest on dzieckiem Bożym. Nie muszę więc rzucać się na szyję komuś, kto mnie zgwałcił, ale nie mogę nim gardzić, nie mogę wyrządzać mu zła. Święty Franciszek będzie pouczał później w swoich *Pismach*: „jeżeli już nie możesz kogoś

kochać, to przynajmniej nie czyn mu zła”...

Trzeba jednak jeszcze raz podkreślić, że do takiej postawy potrzebne jest wcześniejsze otwarcie na działanie Bożej łaski w naszych sercach. Pamiętajmy, że gdy Franciszek spotyka trędowatego, ma już wcześniej przemienione serce i całym tym sercem zwrócony jest ku Panu, modli się, wspiera ubogich, pragnie poznać wolę Bożą, co do swojego życia. Dlatego i my również musimy najpierw przyjąć Boga, aby móc przyjąć człowieka... Tylko Jego mocą w swoim prześladowcy możemy ujrzeć potrzebującego pomocy człowieka. Tylko czerpiąc ze źródła Jego miłości jesteśmy w stanie zatroszczyć się o życie wieczne tego, kto być może zamienił nasz życie w koszmar. Przypomina mi się tutaj wyznanie pewnego młodzieńca, który występował w jednym z programów telewizyjnych. Gdy zapytano go, co czuje do swojego ojca, który całe życie go maltretował, płacząc powiedział: „Nienawidzę go i wolałbym, żeby nie żył!”.

Dlaczego musimy pojednać się z takimi ludźmi? Czy nie można inaczej? Czy nie da się być szczęśliwym pomijając to, co jest trędem? Czy nie wystarczy nam sam Jezus i Jego miłość? Niestety nie, bo - jak napisał w *II liście św. Jan Apostoła*: „Jeśliby ktoś mówił: ‘Miłuję Boga’, a brata swego nienawidził, jest kłamcą, albowiem kto nie miłuje brata swego, którego widzi, nie może miłować Boga, którego nie widzi. Takie zaś mamy od Niego przykazanie, aby ten, kto miłuje Boga, miłował też i brata swego” (4, 20-21).

### **Gorzkie stało się słodkie**

Bóg mieszka w człowieku, w każdym człowieku - nawet i w trędowatym. Właśnie to zrozumiał Franciszek. Pod tak niezwykłą postacią Bóg stanął już kolejny raz na jego drodze i ukazał, że to, co jest przeklęte w oczach ludzi będzie dla niego błogosławieństwem. W tym spotkaniu wypełniła się obietnica Pana, że to, co było wcześniej gorzkie stanie się słodkie, bowiem młody Bernardone, chodząc do szpitala trędowatych poczuł się naprawdę szczęśliwy. Wprawdzie wracał jeszcze do Asyżu, do swojego domu, do środowiska ludzi, którzy żyli w jakby zupełnie innym świecie, niż trędowaci..., ale gdzieś głęboko w swoim sercu utwierdzał się w przekonaniu, że służba Panu niewiele ma wspólnego z wygodnym i dostatnim życiem, i że nie tutaj jest jego miejsce. Jednak nie miał jeszcze pewności czego Bóg od niego oczekuje...

Franciszek cieszył się zwycięstwem odniesionym nad swoją naturą i tą przemianą, która dzięki Bożej interwencji dokonała się w jego życiu. Sam nigdy by tego nie dokonał, a przede wszystkim nawet by o to nie zabiegał. To był Boży plan, a nie jego własny.

Na tym przykładzie widać wyraźnie, że w Bożym projekcie ludzkiego życia wszystko ma swój czas i miejsce. Pan na drodze rozeznawania powołania stopniuje wymagania wobec nas. Dlatego nie od razu, będzie żądał tak radykalnej zmiany mentalności. Poczekaj aż nasze serca dojrzeją do poddania się czemuś, co dotąd było całkowicie poza zasięgiem naszych ludzkich możliwości. To nie Pan Bóg łamie ludzkie opory, my sami musimy to uczynić, ale On daje do tego siłę.

Jeżeli więc, pragniemy w swoim życiu wypełnić wolę Bożą, to bądźmy pewni, że wcześniej czy później zostaniemy postawieni przed koniecznością zadania gwałtu swoim wyobrażeniom o życiu, upodobaniom, a także przeświadczeniom o tym, do czego jesteśmy zdolni, a do czego na pewno nie. Ale nie ufajmy tak szybko własnemu rozeznaniu. My naprawdę - szczególnie w młodym wieku - bardzo niewiele o sobie wiemy i jeżeli pozostaniemy tylko na tym, co sami uważamy za możliwe, wielokrotnie rozminiemy się ze szczęściem przygotowanym nam przez Pana albo nawet ze swoim życiowym powołaniem.

Często na przykład zdarza się, że osoby myślące o oddaniu swego życia Jezusowi w jakimś zakonie, najpierw robią swoisty wywiad czy w danym zgromadzeniu pozwolą studiować, czy

będzie możliwość podjęcia takiej pracy, która dawałyby poczucie, że robi się coś sensownego dla ludzkości, czy na pewno nie poślą do czegoś, co zupełnie mi nie odpowiada, bo np. nie cierpię sprzątać, albo nie wyobrażam sobie pracy z alkoholikami czy z osobami niepełnosprawnymi?, itp. Lista pytań wywiadowczych i stawianych warunków okazuje się niekiedy bardzo długa i drobiazgowa, a im jest dłuższa, tym trudniej znaleźć odpowiedni zakon i podjąć decyzję... Tak mijają miesiące i lata życia, które mimo tzw. dobrych chęci, ciągle nikomu i niczemu nie służą oprócz - trzeba szczerze się do tego przyznać - własnej pychy...

„Komu lepiej służyć, Panu czy słudze?” - wraca, jak echo, pytanie ze Spoleto. Jeżeli naprawdę Panu, to dlaczego Mu nie zaufać? On się zatroszczy o to, aby nasze życie i to, co będziemy robić było najlepsze. Z tym tylko, że może niekoniecznie tak jak podpowiada nasza nieznajomość siebie, własna wizja realizacji powołania, a może także zbyt wygórowane ambicja...

Gdy człowiek zapragnie podążać za wolą Boga, gdy wyczuli serce na Jego natchnienia, gdy zawierzy Panu swoją przyszłość z pewnością na tym wygra - osiągnie prawdziwe szczęście. Choć to wcale nie znaczy, że wszystko w życiu pójdzie łatwo, jak po przysłowiowym maśle. Kogo bowiem Bóg miłuje, tego też doświadcza i oczyszcza. Każdy więc, umiłowany przez Boga człowiek, będzie delikatnie, ale też konsekwentnie, konfrontowany ze wszystkim, co sprzeciwia się w nim, jego własnemu szczęściu.

Z tego też powodu Bóg postawił trędowatego na drodze Franciszka i gorzkie nagle stało się słodkie. Ale to nie wszystko, czego młody Bernardone miał doświadczyć, aby rozeznąć swoje powołanie. Jego serce jeszcze nie było w pełni gotowe na podjęcie życiowej misji. I chociaż czuł się teraz szczęśliwy, posługując tym ludzom dotkniętym wszelaką nędzą, to jednak trzeba było, aby jeszcze wypełniła się druga część obietnicy: słodkie powinno stać się gorzkie. Musiał więc, nadal wsłuchiwać się w głos Pana, nadal szukać Jego woli i być gotowym ją przyjąć.

Ciąg dalszy w III kroku pt. „Odpowiedź na wezwanie”